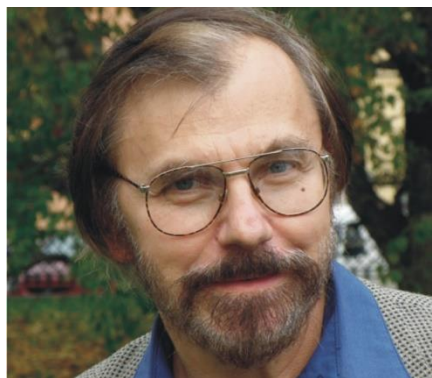


Listy do Pani A. (212)



Fot. Andrzej Dębowski

Sentymenty i złośliwości

Droga Pani!

Wiosna już się zbliża, jeszcze trochę opieszale. Jednak pomimo wszystko należy oczekiwać jej z nadzieją. Przyznam się Pani, że czekam, choć z pewnego powodu nie lubię marca: z powodu zmiany czasu na tzw. „letni”. Jest nienaturalny, zakłóca porządek astronomiczny. Oczywiście potem się przyzwyczajam, ale i tak z ulgą witam na jesieni czas normalny, czyli „zimowy”.

Ale teraz wyglądam ciepłych dni, wiosny, lata, wyjazdu na wakacje.

Bo inaczej patrzy się na świat, kiedy robi się ciepło i „zmarłychwstaje” roślinność. Młode liście na drzewach są tak czyste jak nadzieja. Ale to jeszcze jakiś czas potrwą, zanim podzielę się z Panią wrażeniami w pełni wiosennymi. Ale ten miesiąc nie darmo nosi nazwę pochodzącą od marzeń.

Nie wszystko jednak jest marzeniem. Przeżywaliśmy z Anią niedawno rewolucję i urwanie głowy. Używam liczby mnogiej, ale jak zwykle najbardziej obciążone były Ania i jej mama. Sprawa wyglądała następująco: babcia Ani przewróciła się w łazience. Poleciała na twarz, uszkodziła sobie żuchwę a także złamała nadgarstek. Dziadek zadzwonił zaraz na pogotowie. Zabrano ją natychmiast do szpitala. Wszyscy się zdenerwowali, bo jeszcze nie wiedzieliśmy jaka była przyczyna tego upadku. Okazało się na szczęście, że to nie jakiś wylew czy udar. Zszyli od wewnątrz dolną część jamy ustnej, na nadgarstek założyli gips. Chcieli operować rękę, ale się babcia nie zgodziła.

Zaraz wsiedliśmy w samochód i pojechaliśmy do Trzebnicy, bo staruszkowie tam mieszkają. Około 16.00 wypisali babcię do domu. Ponieważ dziadka nie można samego zostawić, bo sobie nie da rady, nie zakręci kranu albo – co gorsza – zostawi gaz. A więc zapakowaliśmy cały „pęczek dziadków” do merivy i przywieźliśmy do nas. Sytuacją najbardziej zdziwiony był kot.

A potem dalsze „przyjemności” w postaci powtarzających się sensacji sercowych u babci. Pogotowie – szpital – pogotowie, i tak kilka razy. Nasze „opiekuńcze” jazdy rozwały wszystkie plany, ale ostatecznie można było wytrzymać. Ania liczyła, że odpocznie, a tu bieganina do szpitala, peregrynacje tam i z powrotem, nerwy. Ale potem trochę się uspokoiło, choć co najmniej kilka tygodni trwała ta nasza opieka nad „dziadkostanem”. Zdałem Pani relację, co u nas się działo. A działo się dużo lecz może mało ciekawie z punktu widzenia postronnych obserwatorów. I tak się nam mazał marzec.

A więc jeździliśmy z Anią do szpitala, chodziliśmy też do sklepów. Pewnego dnia Ania weszła po zakupy, a ja stałem przed sklepem obłożony torbami napełnionymi gdzie indziej. Obok handlowała jakaś przekupka. Obrzuciła mnie badawczym, złym spojrzeniem, i spytała z gniewem: „a co pan tu sprzedaje?” Niewiele myśląc wypaliłem: „ciało”, a widząc jej zaskoczenie wyjaśniłem ze stoickim spokojem: „ale tylko na kartki”. Babę zatkało.

Aby uciec od codzienności czytam biografię Jana Nowickiego. Przedstawione jest tam artystyczne środowisko krakowskie, barwne, oryginalne. Żal, że już to wszystko przeminęło; że nie ma tak wyrazistych osobowości, i to zgromadzonych w jednym miejscu. Zresztą środowiska warszawskie, wrocławskie czy gdańskie również były inne niż dziś. Atmosfera, którą z wczesnej młodości dobrze pamiętam, też była inna. Teraz świat jakby się skurczył i zastraszone zamilkł. Ech, spostrzeżenia starego dziada. Ale tak mam.

Mieliśmy wtedy tę szczęśliwą sposobność – myślę o ludziach z mojego pokolenia, bo przecież Pani jeszcze nie było na świecie – że mogliśmy od dzieciństwa choć poobserwować nietuzinkowe osobowości, zauważyć jakieś szczegóły. Jak choćby wypijanie jacek z wysokiej szklanki, co czynił Wajda, o czym opowiadał mi kolega-poeta z Krakowa. Jeszcze się nie myślało o „przynależności” do środowiska, ale już się człowiek z tym wszystkim oswajał, przysłuchiwał rozmowom i dyskusjom, bon motom, i tak powstawały wczesne wspomnienia. Do mojego liceum przyjeżdżał Roman Brandstaetter, Jan Dobraczyński (z którym później byłem zaprzyjaźniony). Szkolny teatr prowadził Adam Mularczyk (jego syn, też Adam, był w tym samym liceum o klasę wyżej ode mnie). W każdym razie powoli się nasiąkało specyficzną atmosferą jaką ci ludzie roztaczali, podpatrywało się sposób bycia, oswajało z oryginalnymi osobowościami. Jeszcze w szkole chodziłem do „Czytelnika” i do Związku Literatów Polskich. To wszystko, wraz z domem, kształtowało przyszłą indywidualność. Taki syndrom nasiąkającej skorupki. A dzisiaj? Już nie chcę narzekać... Spostrzeżenie Wisławy Szymborskiej, że społeczeństwo głupieje hurtowo, a mądrzej detalicznie brzmi proroczo. Zdumiewa brak dystansu i poczucia humoru, najważniejsze jest rycerzykowanie, buńczuczny pseudopatriotyzm, śmieszna, prymitywna religijność na

pokaz, wrzask „Boże coś Polskę”. Nie pamiętam, który to z międzywojennych poetów sparafrazował ten hymn „barze coś Polskę”, za co został przez władze sanacyjne aresztowany. Przed poważnymi konsekwencjami(!) wybrocił go Bolesław Wieniawa-Długosławski. Podobna katopolackowata mentalność do dziś wlecze się za nami jak smród. Absurd goni absurd. Ostatnio wybuchła sprawa krzyża w szkole rzekomo wyrzuconego przez nauczycielkę do śmieci. Podobno to był tylko zabawkowy gadżet, ale motłoch ruszył pełną parą, razem z głupimi, nadętymi władzami i spasionymi hierarchiami. Wyrzucono jakąś zabawkę, a zrobiła się z tego afery na cały kraj. Prymitywne pojmowanie religii, jakby to było tylko jakieś hokus-pokus i wiara w talizmany. Ale dla zbijania politycznego kapitału wszystkie chwytły dozwolone.

Dlatego z takim sentymentem przenoszę się do Krakowa Piotra Skrzyneckiego, Starego Teatru, zabaw ówczesnego środowiska artystycznego. Żal, że to wszystko przeminęło. Niby jest „wolność”, a ludzie tacy jacyś zastraszeni, poza tym brak takich osobowości, jakie były kiedyś. To widać i w naszym światku literackim, coraz bardziej snobistycznym, bo przecież teraz każdy z osobna jest posiadaczem kamienia filozoficznego. Chyba jednak nagrobne. Tylko nie ma odpowiedniej procy, aby ten kamień precyzyjnie wystrzelić. Ani przede wszystkim wiedzy, w co wycelować.

A ostatnio jacyś analfabeci z zapadłych dziur dorwali się do „poprawiania” języka i ortografii, by z prymitywnego punktu widzenia troglodytów stał się bardziej „elegancki”. Dziwię się absurdalnym zmianom ortografii. Np. nazwy samochodów – dużą literą. A zamiast warszawiak, to Warszawiak... Przecież to nieistotne, a sprawia zamieszanie. Po co? Świat rzeczywiście zwariował, zresztą nie od dziś.

Na temat „poprawności językowej” powstało wiele wesołych memów. Na facebooku pokazano np. okładkę: „Stefan Żeromski: Osoba siłująca”. Inna wygenerowana prześmiewczo okładka: „Ali Osoba i czterdzieści osób z doświadczeniem robójniczym”. To memy, ale w rzeczywistości według przepisów nie można dać ogłoszenia: „poszukuję kierowcy” tylko „osoby prowadzącej samochód”, itp. Nie wolno bowiem sugerować płci (puci, jak mówi osoba uchodząca u nas za number one), bo to dyskryminacja! Zaczęto też mówić w telewizji, że trzeba coś dać „ludzią”, podwyższyć pensje „inżynierą”. Kiedyś Pani o tych dziwolągach już wspominałem. A wymyślają to najprawdopodobniej „osoby z syndromem idiotycznym”. Możemy się zżywać, ale jednak to wszystko lepsze niż naloty dronów.

Niezmiennie Pani życzę przedwiosennego spokoju i nadziei. A ten list podpisuję z nowoczesną hiperpoprzawnością –

Osoba Stefanująca Jurkowskująca

Stefan Jurkowski